

Venus alpejska.

Złoty promień słońca zajął do ołemnego pokoju. W jednej sekundzie Jan Chartier był na nogach. Spojrzył przez otwarte okno na niebo i uśmiechnął się radośnie. Zima alpejska grubym całunem ciążyła na strzechach małej wioski Claux, dym z kominów szedł prosto w czyste powietrze, a na zachodzie, wylaniające się z obłoków szczyty Pelvoux strzelały ku niebu w chwale słońca.

Jan Chartier spał tornister, przymocował ski do swego ciężkiego obuwia i, podany naprzód, z rękoma zaciśniętymi na laskach, wpatrzony w rozsolonecznione góry, ruszył raźnie ścieżką, prowadzącą ku lodowcowi Violettes.

— Zawsze sam! Tylko patrzeć wypadku! I szukaj go potem! — mrucał stary Longis, dziekan przewodników w Vallouise, trzęsąc siwą głową. Stał bowiem na progu swej chaty w chwili, kiedy młody alpinista wychodził z hotelu. Z dłonią w kształt daszku nad oczami, wycierając końcem palca drugiej ręki szron, osiadający mu na wosach wytrawny góral ścigał wzrokiem odalającego się śmiałka.

Miał słusność stary Longis! Zdarzył się Janowi Chartier podczas owej wycieczki dziwny wypadek, niezwykle, nie przytrafiający się naogół alpinistom nigdy na wysokości 3000 metrów.

Był to młody, dwudziestopięcioletni idealista, wysoki i szczupły o twarzy Dawida na płótnach Donatella i płomiennych oczach koloru orzecha. Nieufny, zamknięty w sobie, śmiały aż do zuchwałstwa krył pod maską zimnej obojętności gorącą lawę temperamentu romantycznego. Kochał góry i samotność — jak przystało na człowieka osiłej duszy. Alpinizm nie był dlań mitem li tylko spędzeniem czasu, jak dla przeciętnego turysty, ubiegającego się o palmę pierwszeństwa na szczytach. Szedł w góry wiedziony dzikim, pierwotnym kultem dla dziewiczej przyrody, ukochaniem sfer, gdzie powietrze jest lekkie a woda w kryształ się zamienia, ucieczką od uregulowanych stosunków ludzkich ku krainie wolnej od praw, słupów miłowych, władzy i własności — ku schronieniu serc czystych..

Silny, muskularny, tryskający zdrowiem, od ziemi oderwany młodzieniec ten nie znał jeszcze jarzma kobiety...

Oto jak mniej więcej wypowiadał mi się w długim liście ze swej przygody:

„Zamierzałem owego dnia dotrzeć do schroniska Lamercier, przespać się tam i wstać o księżycu by dosięgnąć szczytu Pelvoux około południa. Poczem: jazda na ski wdół.

Klasa, co?!

Wszystko szło dobrze przez pierwsze dwie godziny. Byłem już u źródeł Puiseux, kiedy odruchowo obejrzałem się za siebie. Struchlałem i zimny pot zrosił mi czoło: bu-

rza, jakiej nie zdarzyło mi się wdziać, szła ku mnie, hucząc, kłębiąc się, czarna jak smoła, przerywana błyskawicami. Jeszcze kwadrans, a znieśie mnie w przepaść. Ani wysłać o wspinaniu się do schroniska „Lamercier“ lub zejść do doliny. Noc bowiem zaskoczyłaby mnie, zanim znalazłbym się w wiosce Claux. Jedyne zatem wyjściem, jak się domyślasz, było dostać się do schroniska znajdującego się u wawozu Sélé i spędzić tam noc aż do brzasku.

Dwie godziny drogi przez lodowiec w zamieć śnieżną — niewesoła perspektywa, ale innej rady nie widziałem. Ułamawszy tedy naprędcę kilka galezi z ostatnich modrzewi dla rozpalenia ognia w mym noclegu przywiązałem je do tornistra i ruszyłem w imię boże. Znasz tę drogę! Smagany wichrem i mokrym śniegiem, w obliczu burzy szalejącej już na lodowcu Aulefroide, przy zapadającej nocy dotarłem wreszcie poprzez lodowiec Sélé do podnóża stromej pochyłości, gdzieś to schronisko. „Pchnąłem drzwi i wydobywając kilka iskier z krzesiwka stanąłem nagle jak wryty: jakiś głos wśród ciemności krzyknął:

„Kto tam?“

I niezwykle ten, w tem miejscu i o tej godzinie, głos drżący ze strachu był kobiecym głosem!

Dobrze przeczytałeś: 18 marca 1929 roku o szóstej godzinie wieczorem w schronisku ku Sélé, na wysokości 3000 metrów blisko znajdowała się kobieta!

Sama i, przekonałem się o tem niebawem, młoda!

Wiesz, jak byłem usposobiony wówczas do tych próżnych i lekkomyślnych stworzeń! Ach! Wolałbym zastać niedźwiedzia raczej! Ale co miałem z sobą zrobić? Uciec? Dokąd? Schroniska zresztą są dla wszystkich.

Zrezygnowany, pożegnawszy się z moją drogą samotnością, mruknąłem jak mogłem najuprzejmiej coś w rodzaju: „cicho, cicho! Nie zjedzą pani!“

Westchnienie ulgi w odpowiedzi i odgłos ciała opadającego na posłanie Zapaliwszy latarkę otworzyłem tornister, przebrałem się w pull-over z białej wełny, wydobyłem moje zapasy i zrobiłem ogień cały czas odwrócony plecami do mej przymsusowej towarzyski. Wobec tego, że nie było ani kropli wody w czystych naczyniach miejscowych poszedłem po śnieg. — Za moim powrotem ujrzałem nieznaną majstrującą przy mojej maszynie starego typu.

— Ach, jak mnie pan przestraszył! — odezwała się z uśmiechem, patrząc mi prosto w oczy.

— Ale teraz, pani nie boi się mnie? — spytałem.

Parsknęliśmy oboje śmiechem w tej wielkiej ciszy górskiej. Towarzyszka moja piękna była jak Ewa w raju. Młodość zdobiła

ją aurołą tajemną, a zaufanie bezgraniczne czytałem w jej oczach. Opowiedziała mi, że dotarłszy do wawozu Sélé od strony Bérarde, co jest o tej porze roku nieprzećiętnym czynem bohaterskim dla każdego alpinisty, oczekiwała w schronisku przewodnika z Vellouise, z którym porozumiała się listownie. Nie zastawszy go, zaniepokojona, zdenerwowana i zmęczona po wypiciu filiżanki ledwie ciepłej marmeladowej herbaty położyła się spać bez obiadu.

Możesz sobie wyobrazić, czem było dla mnie moje zjawienie się w schronisku! Uszczęśliwiona, mówiła bez końca, śpiewała uczyła mnie krajać cebulę bez łez w oczach otwierała konserwy, zarzucając mnie przytem tysiącem pytań doświadczonyj alpinistki. Od czasu do czasu jednakże miłkliśmy oboje, zmieszani osobliwą naszą sytuacją.

Jedna za drugą świece pogasły. Naciągnawszy ciepłe swetry wyszliśmy z chaty w cud nocy zimowej i pełni księżyca na lodowcu. Niebo skrzyło się gwiazdami. Łkając przytuliliśmy się do siebie w ekstazie nad tem pięknem alpejskiego krajobrazu, a kiedy wiatr zawył wróciliśmy do schroniska. Leżąc obok siebie na niewygodnych siennikach, ona z głową opartą na mojem ramieniu w braku poduszki, patrzyliśmy w ciemnym zachwycie w okno, gdzie księżyc przesiewał przez kryształ sronu swe światło barwy opalu. Nagle, w jednoczesnym odruchu żywiołowego uczucia dłonie nasze wyciągnęły się i splotyły w uścisku, a twarze pochylone ku sobie przylgnęły rozpalonymi wargami. I oto, w mędnym schronisku alpejskiem piękna jak Venus kobieta stała się moją pierwszą, niezapomnianą i najdroższą z kochanek.

Kiedy nazajutrz ujrzałem zdała chaty Claux, towarzyska moja stanęła, jakgdyby pragnąc odwlec chwilę powrotu do szarego życia i łzawy wzrok wpiła w niepokalane stopy lodowców, śpiewające zatroskanym ludzkiem pieśń wolności i swobody. Pocałowałem ją w usta, powieki i czoło, poczem patrzyłem, tłumiąc łkania, jak nikt mi z oczu, by zająć swe miejsce wśród cegiełek cywilizowanego świata.

W godzinę później pytałem w małej kawiarni starego Longisa o alpinistkę.

— A jakże! — odparł — widziałem ją. Czekano na nią w hotelu. Jakiś pan, przybyły austro-dajmlemerem wczoraj. Bardzo był niespokojny. Gadał już nawet o zorganizowaniu karawany ratunkowej. To ci uradował się, jak ją zoczył... Mołsciewy!

— A ona?

— Ona? Bóg raczy wiedzieć! Trzymała chusteczkę przy oczach. Bolały ją pewnie od śniegu. Nie?...

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Księżę Karnawał w Łodzi.



Pomimo ciężkiej sytuacji gospodarczej i ogólnego kryzysu, jaki odczuwa Łódź, nie zapomniano o karnawale—tym niefrasobliwym czasokresie beztrudności, swobody i humoru. Acz blaski księcia karnawału przyblakły nieco, zachował on mimo wszystko swą monarcharszą okazałość.

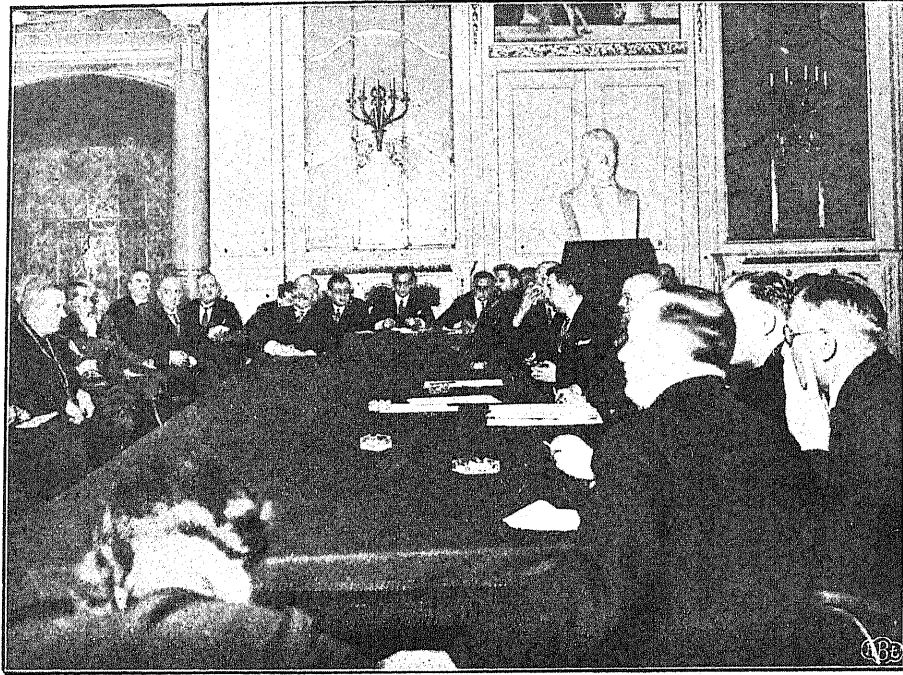
Powyżej widzimy fragment wieczoru towarzyskiego Związku Zawodowego Techników, którego członkowie oraz zaproszeni goście w miłym nastroju witają świt.

TEATRALJA.

„Wilki w nocy“ — O teatry na przełomie-
ściach. — Wymurzenia Ludwika Solińskiego.
Dr. Białgi z za kulis.

Warszawski „Tęcza“ wystawił jed-
ną z najpiękniejszych sztuk nieodwołane-
go Tadeusza Rittnera, mianowicie — „Wilki
w nocy“. Ten subtelny, ironiczny nieco
dramat życia włóczęgi, noszącego w sercu
jakieś niezłiszczalne tęsknoty i przecucia
lepszych światów, — aczkolwiek stał się
dzisiaj może niewspółczesny i tchnący prze-
brzmiałym dekadentyzmem, jest przecież
zawsze dziełem twórcy wysokiej klasy, w
którym dusza poety i mistrzostwo drama-
turga złożyły się na nieczęsto spotykana ca-
łość. Rittner miał swój szczególny styl i
sposób pisania, bardzo odrębny i indywi-
dualny; kontrastowość, nastrojowość, zwic-
wność — wszystko to, co stanowi fantasty-
czno-poetycką aurę, potrafił Rittner nie tylko
wyczuć i z powodzi zwykłych zdarzeń wy-
odrębnić, ale również — przetransponować
w formę dramatyczną, otoczoną zazwyczaj
tą rittnerowską par excellence mgłą poezji
i wysokich wlotów. W „Wilkach w nocy“
jak pamiętamy, w spokojną, uregulowaną
pod każdym względem atmosferę mieszczań-
sko - urzędniczego domu wdiera się nie-
spodziewanie podmuch zupełnie innego ży-
cia: mieszkajnego, gorączkowego, cygań-
skiego, zbrodniczego niemal — życia, któ-
rego symbolem i ofiarą jest ów Morwicz.
Skrzyżowanie się, czy raczej zderzenie
dwóch kontrastujących z sobą płaszczyzn
rzeczywistości, z których każda posiada
własną przeszłość, własne prawo do teraz-
niejszości, tworzy interesującą przez auto-
ra zawiązaną węzeł dramatyczny, doskona-
le w toku akcji obrazujący założenia sztuki,
uwidoczniający w nieprzeciętnym dja-
logu cieniście nici poszczególnych motywów.
Sztuka Rittnera znalazła w Teatrze Małym
bardzo dobrych i inteligentnych wykonaw-
ców, wśród których na pierwszy plan wy-
sunął się zgrany kwartet: pp. Przybyłko-Po-
tocka, Modzelewska, Daczyński i Stanis-
ławski.

W jednym z dzienników warszawskich
poruszono bardzo ważną, aktualną i w łódz-
kich warunkach, sprawę organizacji teatrów
na przedmieściach, które, przy pomocy za-
rządu miejskiego, mogłyby odegrać donio-
słą rolę kulturalno-oświatową i w znacze-
niu społecznym zapobiegawczą. Słusznie
przy tej okazji zaznaczono, że — prócz po-
parcia finansowego niezbędnym warunkiem
racjonalnej działalności popularnych teatrów
dzielnicowych, musiałaby być stała kontrola
nad repertuarem, sprawowana przez spe-
cjalne komisje, z udziałem przedstawicieli
literatury, sztuki i sfer robotniczych. Bra-
ku godziwej i pozytywnej rozrywki, dostę-
pnej dla tych sfer, nie mogą oczywiście re-
kompensować kina, z natury rzeczy trzecio-
rzędne lub też bardzo ubogie pod względem
artystycznym teatryki. Potrzebne są te-
atry dzielnicowe, o odpowiednim poziomie
i kierunku oraz o tanioci miejsc, zapewnia-
jącej wstęp nawet najmniej zamożnym. —



W dniu 27 b. m. bawili w Łodzi przedstawiciele rządu w osobach ministrów Pry-
stora i Kwiatkowskiego, którzy odbyli wspólną konferencję z przedstawicielami or-
ganizacji gospodarczych naszego miasta. Powyżej fragment konferencji odbytej w
Urzędzie Wojewódzkim. Po stronie prawej obydwoj ministrowie oraz p. wojewo-
da Jaszczołt. Fot. Meyer. Tel. 108-81.

Wprawdzie Warszawa posiadała już w pew-
nych okresach dobrze naogół spełniające
swe zadania teatrzyki dzielnicowe, że wspo-
mniemy tu choćby teatr praski, imprezy te
jednak, prędzej czy później, stawały zawa-
żać wobec nieprzewidywalnych trudności
finansowych i dość szybko kończyły swe
istnienie. Ze względu na poważne zmiany
w systemie gospodarki w warszawskich te-
atrach miejskich, które mają stanowić odręb-
ną jednostkę prawno-administracyjną, moż-
na żywić niejakkie nadzieje, że sprawa te-
atrów na przedmieściach znajdzie wśród
innych kwestyj teatralnych dostęp do umy-
słów ojców miasta, i że z 3 milionów, zgórą
sumy, przeznaczonych w budżecie miejskim
na subwencjonowanie teatrów, da się wy-
kroić pewną ilość tysięcy na zorganizowa-
nie i popieranie teatrów popularno-robotni-
czych. Będzie to daleko owocniejsze w
skutkach, aniżeli np. dokładanie po 12 zł.
(sic!) rocznie do każdego widza, uczęszczają-
cego do drogiej, a pięknie deficytowej
opery...

W czasopiśmie „Scena Polska“ ukazał
się artykuł Ludwika Solińskiego, będący od-
powiedzią na ankietę na temat „Autor i ak-
tor“. Znany artysta polski, który nie-
dawno właśnie ukończył 75 lat ży-
cia, odpowiedź swoją traktuje z humo-
rem i nonszalancją, do której ma oczywiście
najzupełniejsze prawo. Sens wymurzeń Soli-
ńskiego da się streścić w tem, że sztuka jego
jest jego wyłączną tajemnicą, z której zwie-
rzać się nikomu nie ma zamiaru. Takie po-
stawienie sprawy może się temu czy owe-
mu z ciekawskich nie podobać, tem niemniej
jednak jest jasne, uczciwe i godne znakomi-
tego aktora, który przecież nikogo swej

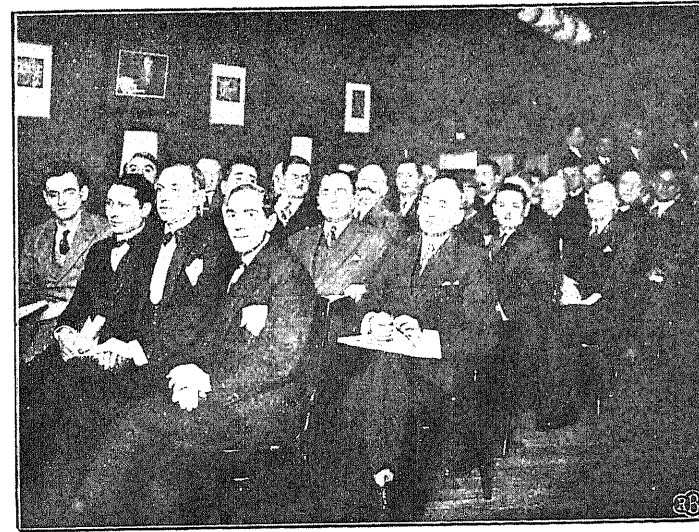
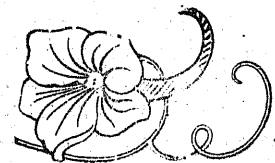
sztuki ani jej naśladowictwa nawet na-
uczyć nie może.

Jak donoszą z Aten, podczas prac wyko-
palijskich, prowadzonych w górach Hy-
mittos, odnaleziono rękopis nieznannej try-
logii Sofoklesa. Jest to Trylogia o Telepie,
królu Myzji. Na wiadomość o znalezieniu
tak cennego rękopisu, kilku profesorów uni-
wersytetu ateńskiego udało się na miejsce,
celem pokierowania dalszymi poszukiwaniami,
które pozwoliłyby ustalić, w jaki spo-
sób cenne rękopisy mogły się znaleźć w tej
właśnie okolicy.

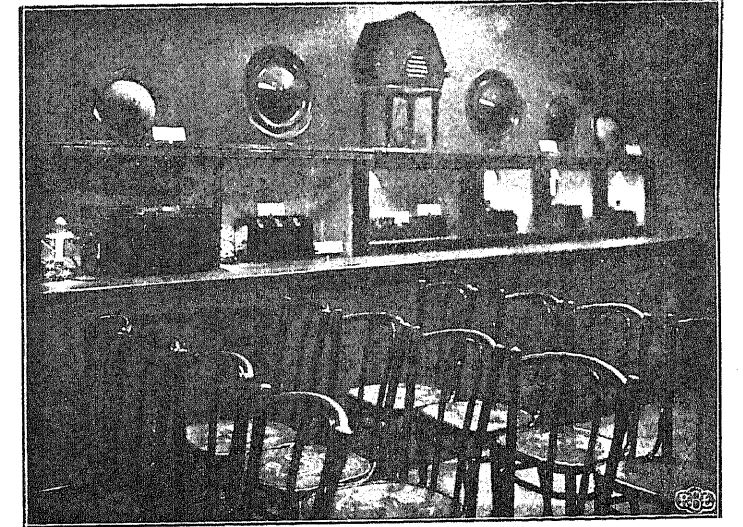
Niedawno Max Reinhardt pozyskał mo-
wą uczenicę, której wysokie pochodzenie
jest przedmiotem wielu rozmów i komen-
tarzy. Uчениcą tą jest księżniczka braban-
ka Elżbieta, bliska krewna ex-cesarzowej
austriackiej — Zyty. Księżniczka Elżbieta,
prowadząca swe studia teatralne pod oso-
bistym kierownictwem Reinhardta, uważana
jest przede wszystkim za bardzo utalentowaną i ob-
licującą indywidualność aktorską, kto wie te-
dy, czy nie stanie się z czasem gwiazdą
sceniczną w całym tego słowa znaczeniu.

Głośny pisarz francuski Paweł Morand
wpadł na oryginalny zaiste pomysł — prze-
robienia powieści Dostojewskiego p. t.
„Gracz“ na... libretto operetkowe. Ta nie-
zwykła przeróbka sceniczna ukazać się ma
w jednym z teatrów paryskich już w nie-
dalekiej przyszłości.

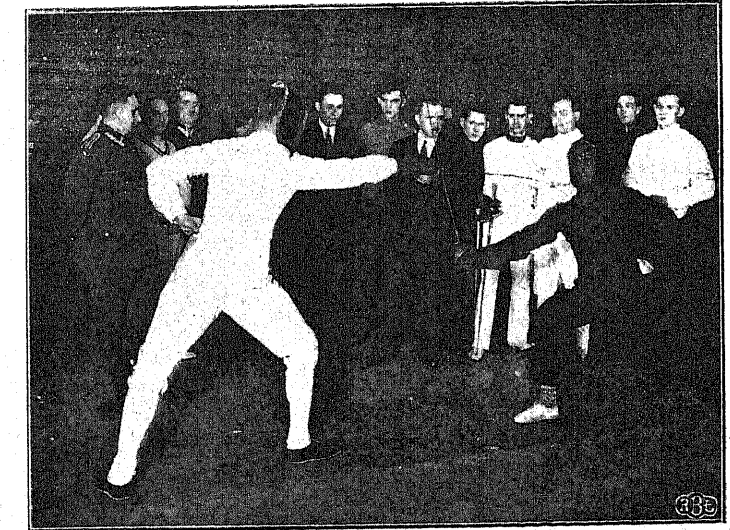
Delta.



W Łodzi otwarta została wytworna i bogata w eksponaty wystawa radjowa Philipsa, której zwiędzanie udostępni-
szerszej publiczności. Na zdjęciach widzimy od strony lewej fragment z uroczystości otwarcia wystawy, w której wzięli
udział liczni przedstawiciele świata kupieckiego, stowarzyszeń i instytucji, na prawo zaś eksponaty wystawowe.



Cech Powroźników w Łodzi święcił w ubiegłym tygodniu podniosłą uroczystość 80-letniego swego istnienia. Z tej racji
nastąpiło poświęcenie nowoofundowanego sztandaru cechowego. Akt ten dopełniony został w kościele św. Matysza. Po-
wyżej widzimy liczną grupę uczestników uroczystości, członków cechu z przedstawicielami Izby Rzemieślniczej i Resur-
sy oraz sztandarem na czele.



W ubiegłym tygodniu zakończony został turniej szermierczy o mistrzostwo Łodzi. Na zdjęciach widzimy od strony le-
wej grupę uczestników turnieju, na prawo zaś ciekawy i efektowny moment zapasów. Fot. Meyer. Tel. 108-81

3-ci KONKURS

„Kurjera Łódzkiego”
dla naszych miłośników

p. 2.

„TYP DZIECKA POLSKIEGO”

W konkursie tym mogą wziąć udział wszystkie dzieci od lat 2—7, których rodzice winni nadesłać do redakcji „Kurjera Łódzkiego”

fotografie, oznaczone godłem,

nazwisko zaś imię i adres, winno być załączone w drugiej, zamkniętej kopercie, oznaczonej tem samym godłem. Reprodukce fotografii zamieszczane będą co tydzień w dodatku „Łódź w Ilustracji” w ilości od 12—20.

Gdyby fotografii w którymkolwiek tygodniu było więcej, kolejność umieszczenia nastąpi w drodze losowania.

Konkurs trwa do 1 kwietnia 1930 r.

Wszyscy czytelnicy mogą głosować na wybrany przez siebie typ wycinając odpowiadający kupon, znajdujący się w każdej niedzieli w „Kurjerze Łódzkim”. Na kuponie tym należy wpisać tylko godło dziecka, na które się głosuje i w zamkniętej kopercie z nagłówkiem „Na konkurs” nadesłać pod adresem „Kurjera Łódzkiego”

Losowanie nastąpi w obecności członków redakcji po dniu 1 kwietnia 1930 r. Jako nagrody redakcja „Kurjera Łódzkiego” przeznaczona dla dzieci na które padnie więcej największa ilość głosów:

- I Kompletne ubranko letnie, składające się z garniturku, względnie sukienki, trzewieczków i kapelusika oraz żeton złoty.
- II Rower dziecienny, względnie kolarzyki złote oraz żeton srebrny.
- III „Niezdojbyta forteca” albo piękna lala i żeton brązowy.
- IV „Krokodyl” lub wielka piłka gumowa.
- V 6 książek w ozdobnej oprawie z bajeczkami ilustrowanymi.



Godło „Orchidea”.



Godło „Dwa bratki”.



Godło „Krysia”.



Godło „Kmicic”.



Godło „Ślipeczek”.



Godło „Maryś”.



Godło „Lila”.



Godło „Jadziunia”.



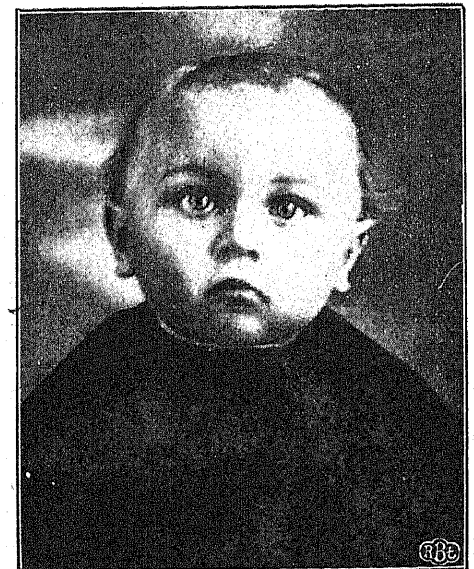
Godło „Nasza Kasia”.



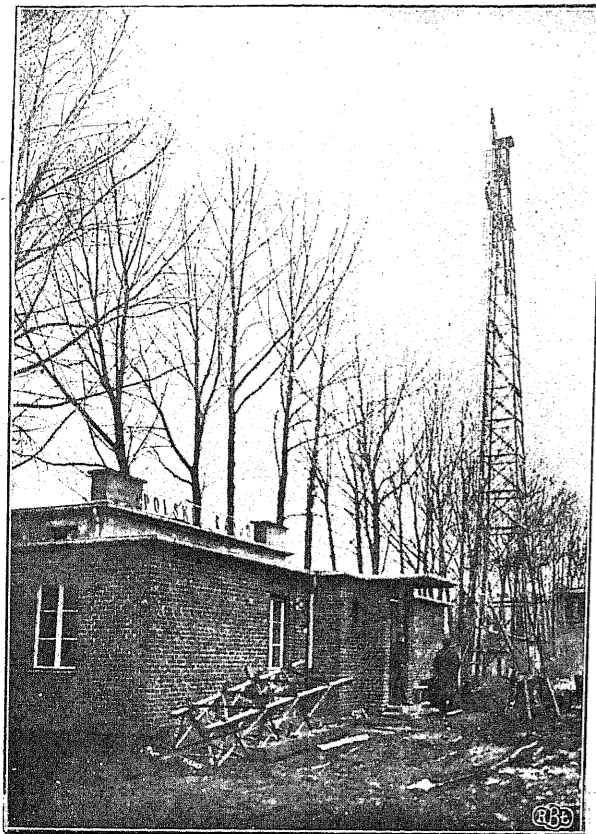
Godło „Ulan i Zosierka”.



Godło „Marzenie”.



Godło „Mały zakonnik”.



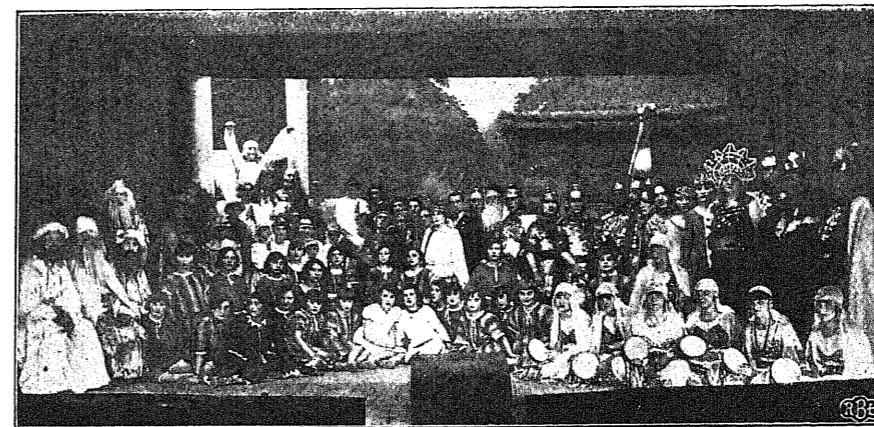
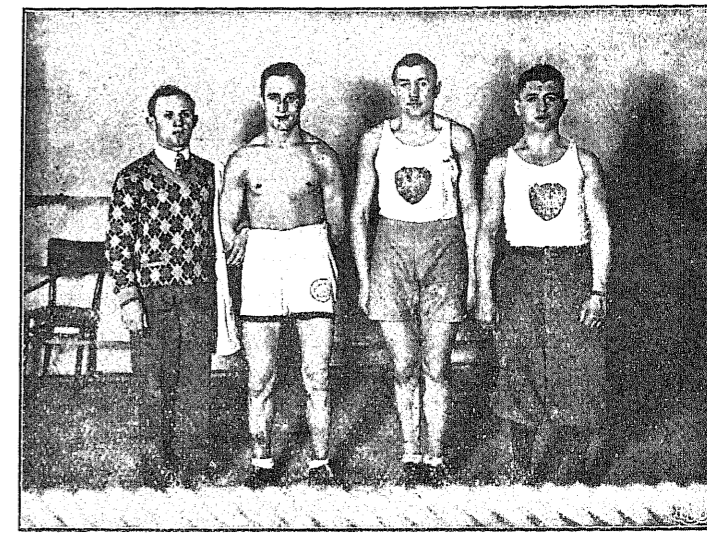
W dniu 1 lutego r. b. uruchomiona zostanie w Łodzi radiostacja nadawcza. Na zdjęciu widzimy budowę wież antenowych radiostacji.



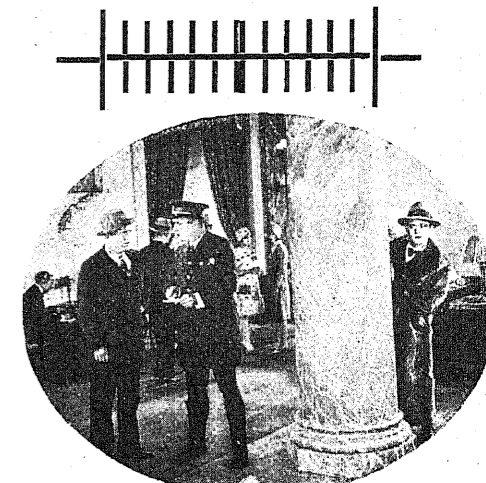
Jedną z pięknych i utalentowanych artystek srebrnego ekranu Leila Karnelia gra obojk (Lili Damity) w filmie p. n. „Świat w miłości”.



W ubiegłym tygodniu odbyły się w Łodzi zawody bokserskie, rozegrane pomiędzy drużyną reprezentacyjną Łodzi i Górnego Śląska. Zawody te odbyły się w sali Geyera, przy ul. Piotrkowskiej. Na zdjęciach powyższych widzimy od strony lewej grupę zawodników obydwu drużyn reprezentacyjnych, na prawo zaś przedstawicieli boks, zawodników wagi średniej.



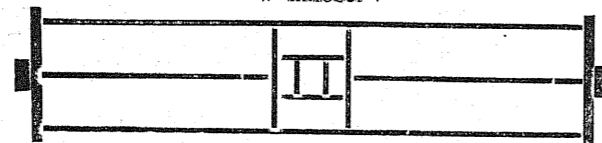
Towarzystwo Śpiewacze im. Moniuszki w Łodzi wystawiło domocznym zwyczajem na scenie Teatru Popularnego misterjum p. n. „Boże Narodzenie”. Zdjęcie nasze przedstawia fragment sztuki tej z całkowitą jej obsadą.



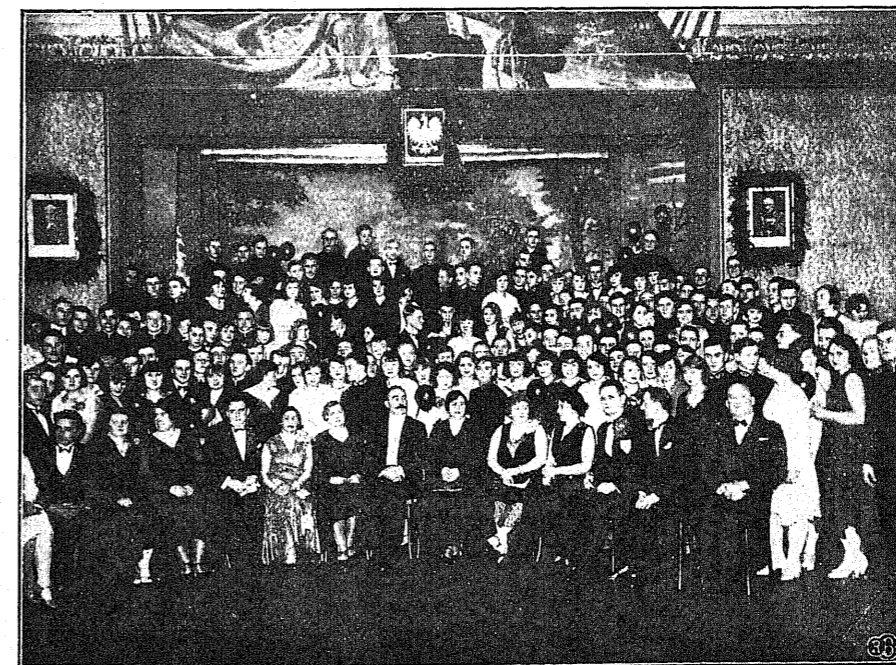
Jedną ze scen filmu p. n. „Syni szczęścia”.



Scena miłosna z filmu „Pod banderą miłości” w interpretacji Marii Bogdy i Zbyszka Sawana.



Muś, cudowne dziecko srebrnego ekranu, występuje w dwu-aktówkach filmów dźwiękowych wytwórni „Universal”.



Fragmenc „Wieczoru Tamecznego”, urządzonego przez Samopomoc uczniów gimnazjum męskiego Aleksiego Zimowskiego w Łodzi, ul. Boczna 5. Na zdjęciu młodzież z ciałem pedagogicznym i właścicielem gimnazjum p. A. Zimowskim na czele. Fot. Meyer. Tel. 108-81.



Przedstawicielki harcerstwa polskiego w czasie pobytu w Ameryce.

HENRY JEANSON.

Balzakowska Kobieta.

Osoby: Maurycy Beronette, Julja, jego kochanka, Leopold, przyjaciel obojga. Salon w dobrym guście. Julja, piękna trzydziestoletnia kobieta, czyta gazetę. Telefon dzwoni. Julja bierze słuchawkę.

Scena I.

Julja. Hallo... Hallo... tak... dzień dobry moja droga Youkie..., co słytać?,,, nic nowego... owszem... prawda... rozstają się z Maurycem... co on mówi na to?,,, Nie wie jeszcze... nic nie poradzę, że Gaston mi się podoba, a Maurycy nie... Wiesz?... Maurycy kupił mi pięćdziesiąt akcji „Sessue Hayakawa“ po 6000 franków... kurs ich 18 tys. franków dzisiaj... ofiarował mi naszyjnik perłowy na gwiazdkę... Gaston jest też bogaty... Maurycy?... Dlaczego nie żeni się ze mną?... A zresztą... brzydki... ma nerwowe drgawki... brzusek mu rośnie... masz słusność... skoro pieniądze są, o miłość chodzi tylko... Tak... jestem zdecydowana... buzi, moja droga. (Zawiesza słuchawkę. Przegląda się w lusterku. Pudruje twarz. Wchodzi Maurycy).

Maurycy. Dzień dobry, kochanie.

Julja. Żegnaj cię.

Maurycy. Wychodziś?

Julja. Bynajmniej.

Maurycy. Cóż więc znaczy to „żegnaj cię“?

Julja. Dowiesz się za chwilę. Skąd wracasz?

Maurycy. Z klubu, oczywiście.

Julja. Dlaczego „oczywiście“?

Maurycy. Mimowoli przyszło mi na usta. Co w niem złego?

Julja. Nic, ale drażni mnie.

Maurycy. Przesadzasz, jak zwykle.

Julja. Ja przesadzam? Weź mnie za puls! Jak prędko bije! Niektóre twoje wyrażenia działają mi na nerwy, wywołują gorączkę.

Maurycy (biorąc ją za rękę). Puls jak puls. Złe byłoby, gdyby nie bił. Pocałuj mnie.

Julja. Nie mam ochoty.

Maurycy. Nie, to nie. Poczekam, aż będziesz w dobrym humorze. Ach, wszystkie kobiety są do siebie podobne!

Julja. Dawniej twierdziłeś, że ja nie jestem kobietą, jak inne.

Maurycy. Ba! Nie byłeś wówczas moją kochanką. Kobiety dzielą się na dwie kategorie właściwie: posiadane i nieposiadane.

Julja. Co takiego?! Taki głupiec jak ty nie potrafi być cynikiem nawet. Wiedz że o tem, grubjaninie, że jest jeszcze trzecia kategoria kobiet, tych miamowicie, które nie będą nadal posiadane. Ja do nich od kilku chwil należę i korzystając ze sposobności, mam zaszczyt prosić cię, aby noga twoja nie postąpiła tu więcej.

(Milczenie).

Maurycy. Sądziś zatem, że dość mi pokazać drzwi palcem — ślicznym zresztą — abym się wyniósł? Otóż nie. Zostanę.

Julja. Tak ci zależy na mnie?

Maurycy. Niestety!

Julja. Więc ożenisz się ze mną.

Maurycy. Znowu twoja stara śpiewka. Sto razy już mówiłem ci, że ojciec mój nie zgodziłby się nigdy na to. Czyż nie żyjemy z sobą jak małżeństwo zresztą?

Julja. Nielegalne. Ludzie ostrzą sobie języki na nas.

Maurycy. Nie dbam o opinie.

Julja. Dlaczego w takim razie nie chcesz rozstać się ze mną i uchodzić za kochankę... puszczonego kantem? (Milczenie). Podaje mu rękę teatralnym nieco gestem). Żegnaj, Maurycy. Są śliczne pokoje u Charidge.

Maurycy. Zupełnie poważnie chcesz, bym cię porzucił?

Julja. Mówię serjo, że ja opuszczam cię.

Maurycy. Nie zgadzam się na to.

Julja. Pojmiesz mnie za żonę?

Maurycy. Skoro tylko ojciec mój zamknie oczy. Po raz tysięczny chyba daję ci tę obietnicę.

Julja (nie dowierzająco). Ile ma lat twój ojciec?

Maurycy. Siedemdziesiąt osiem.

Julja (po chwili). Przysięgnij, że zostaniesz moim mężem.

Maurycy. Przysięgam. Pocałuj mnie.

Julja (całując go). Kochasz?

Maurycy. Oczywiście.

Julja. Znowu „oczywiście“! Stanowczo twój słownik nie jest bogaty.

Maurycy. Ubóstwiam cię! Uwielbiam! Kochajmy się, Juleczko! Nie rób mi scen! Zobaczysz, jacy będziemy szczęśliwi! Ty poznasz moją rodzinę... Ja twoją... (Dzwonek. Po chwili wchodzi Leopold).

Scena II.

Maurycy. Julja. Leopold.

Leopold. Dzień dobry, Julko! (Do Maurycego) Mój biedaku!

Maurycy. Dlaczego „biedaku“?

Julja (uprzejmie zaczepna). Zgrał się w klubie i przyszedł prosić cię o pieniądze!

Leopold. Broń Boże!

Maurycy. Więc?...

Julja. O co chodzi?

Leopold. Twój biedny ojciec...

Julja (porywcz, z radosnym błyskiem w oczach) Umarł!

Leopold (prerażony). Co? Nigdy nie przypuszczałem... Pelen nadziei opuściłem go przed dwudziestu minutami... Lekarz dyżurny zapatrywał się na stan jego optymistycznie. A tymczasem... nim tu zdażyłem... zatelefonowano wam... Bardzo ci współczuję, Maurycy!

Maurycy. Ależ nikt nie telefonował!

Julja. Co to wszystko znaczy?

Leopold. Wszak twierdzić, że pan Berouette umarł!

Maurycy. Nigdy w życiu.

Julja. Czy masz blika? Co to za bajeczka o lekarzu dyżurnym i jego... optymizmie?

Maurycy. Nic nie rozumiem.

Leopold. Ja również.

Julja. Wpadłeś przecież jak zadyszany astmatyk, nazwałś Maurycego biedakiem, powiedziałeś, że ojciec jego nie żyje...

Leopold. Nic podobnego! Od was do-

wiaduję się o tem!

Maurycy. Ode mnie?

Leopold. Nie...

Julja. Od kogo zatem? (do Maurycego) Twój przyjaciel ma Michałka.

Maurycy. Juleczko! (do Leopolda). Wy bacz jej! Ona jest nerwowa!

Julja. Umarł, czy nie umarł pan Berouette? Mów!

Leopold (wybuchając). Otóż to! Pędzę na złamanie karku, żeby ich z wszelkimi ostrożnościami uprzedzić o wypadku, a oni nie dając mi przyjść do słowa, zarzucają mi kłamstwo! Niech was jasny piorun!... Bądźże tu przyjacielem!... Skoro tak, powiem, kiedy mnie się spodoba! Nie jestem na rozkazy! Siadajcie!

Maurycy (siada posłusznie). Wejść w nasze położenie!

Julja (kwaśno). Przeprósze go a pokornie!

Leopold. Czy mogę zacząć? Jesteście gotowi? (Po dobrej chwili) A zatem, spotkałem się z panem Berouette na ulicy i w chwili, kiedy przechodziliśmy przez jezdnię ojciec twój, Maurycy, wpadł pod koło samochodu. Odwiozłem go do szpitala i oddałem w ręce młodego, energicznego lekarza, który stwierdził złamanie kości, nie znajdując go jednak w stanie beznadziejnym. Wsiadłszy w drugą taksówkę, przyjechałem tutaj i skoro, jedno z was (nie pamiętam które, przez grzeczność) zawołało: „umarł“ byłem przekonany, że w międzyczasie telefonowano ze szpitala, gdzie zostałem wasz adres.

Julja. To wszystko?

Maurycy. Trzeba zatelefonować...

Leopold. Trudaine 32-08, spytaj o pana Hills'a.

Maurycy (bierze słuchawkę). Hallo! Hallo! Trudaine 32-08... Pan Hills?... Berouette przy telefonie... Miło mi poznać pana... Chciałbym dowiedzieć się...

Julja (wydzierając mu słuchawkę z ręki) Idjota! Hallo... Hallo... pan Hills?... Tu synowa pana Berouette... Czy stan poważny? Tak... Najlepiej nie ukrywać prawdy... Złamanie kości... Naturalnie... Osiemdziesiąt dwa lata... Dziękuję panu (Zawiesza słuchawkę. Do Maurycego). Na co czekasz? Jedź do szpitala!

Leopold (do Maurycego). Towarzyszę ci.

Julja (całując Maurycego). Pamiętaj o słowie! (Do Leopolda) Przysięgł, że jak ty'ko ojciec jego umrze, ożeni się ze mną

Leopold (ironicznie). Winszuję! Winszuję!

Julja. Dowidzenia! Dowidzenia! (Paniowie wychodzą. Po chwili bierze słuchawkę). Elisee 68-50... Hallo... To ty Gastonie? Nie mogłam telefonować wcześniej. Maurycy tylko co wyszedł. Wiesz?... Ożeni się ze mną!... Wytłumaczę ci później!.. Ale... ale... jaki kurs „Sessue Hayakawa“?... 19 200 brawo!... Kocham cię, najdroższy! Nie kochałam nigdy... rozumiesz? Ty jesteś pierwszy... Nie będę cierpiała z tego powodu, nieprawdaż?... Nie cierpiałam nigdy... Mój najdroższy... (Kurtyna, spadając, przerywa rozmowę).
Tłum. Jotsaw.